NUMER 43. DNIA 22. PAŹDZIERNIKA 1905 ROKU. ROK XIII.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

ZAMEK W BRZEŻANACH.

Pan Brzeżan w cudnej mieszka okolicy,
Zamek objęła rzeka w dwa ramiona.
Nad bramą klasztor, w murach zakonnicy,
Dalej kaplica blachą powleczona...

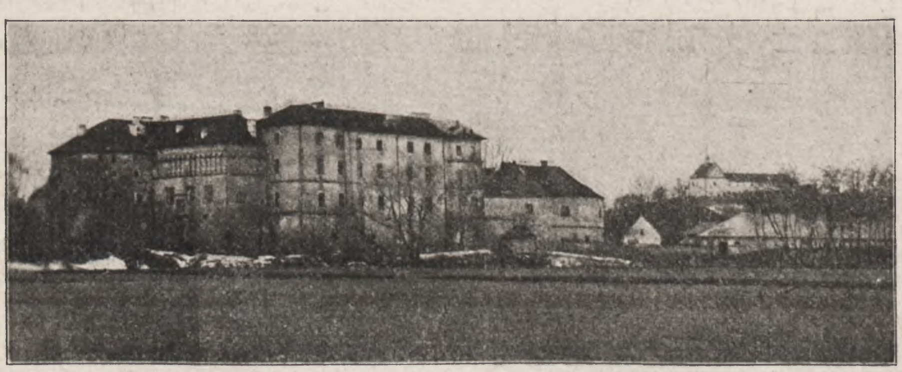
J. Słowacki.

Opiewany przez Słowackiego, opisany przez Kaczkowskiego w powieści „Sodalis Marjanus“ stał się zamek brzeżański, o ile chodzi o przeszłość, wymownym przykładem wielkopańskiej wystawności i zbytku, a o ile chodzi o dramat, prawdziwie tragicznym wzorem znikomości spraw ludzkich. Włodarze jego, dumny ród Sieniawskich, typowe polskie królewięta, wymarli tak do szczętu i bez śladu, że nawet jednej ich linji heraldycznej dziś nie masz. A był to ród taki, że jeden z jego członków pod Wiedniem, dokąd podążył z Janem III., jako hetman polny, wahał się przed cesarzem Leopoldem uchylić kołpaka, a drugiemu na polach Jarosławia August II. razem z Piotrem Wielkim córkę do chrztu trzymali.

Wymarli doszczętnie, a ich zamek dzisiaj browarem i koszarami, a stary archeolog ś. p. Karol Widman w miejscu, gdzie się odbywały huczne wielkopańskie zabawy, trafił na... wesele córki propinatora.

Obecnie książka prof. Józefa Czerneckiego, o której podaliśmy w poprzednim numerze „Tygodnia“ szerszą wiadomość, zwróciła znowu uwagę, tak, jak na wszystkie zabytki brzeżańskie w ogólności, tak szczególnie na zamek tamtejszy.

Rycina nasza przedstawia zamek brzeżański w obecnym zaniedbanym stanie. Kto jednak chciałby nabrać wyobrażenia o jego dawnej świetności, musiałby zajrzeć do poetycznych opisów Słowackiego w „Janie Bieleckim“, do współczesnych inwentarzy, z których jeden przechowuje bibljoteka Ossolińskich we Lwowie, do opisów cudzoziemskich starych podróżników po Polsce, jak n. p. Verdum za Jana III., musiałby choćby rzucić okiem na plan de Pircha z r. 1755.



ZAMEK SIENIAWSKICH.

Zbudowany w pięciobok na dwa piętra, w pierwotnym swym kształcie wykończony w r. 1554, wytrzymał kilkakrotne oblężenia tatarskie, a za Sobieskiego taką odegrał rolę, że konstytucja sejmowa z r. 1676 przyznaje mu „jako od ostatniej zguby ocalił kraje pokuckie“.

Równie jednak jak wojenną, uzyskał sobie zamek brzeżański sławę świetnością swoją i zbytkiem

Wszakże biegły w koło niego dawniej krużganki podobne do tych, które są w zamku królów polskich na Wawelu. Czemu nie, zresztą, bo „co ma król polski i szlachcic mieć może“ powiada Słowacki.

Jeszcze inwentarz z r. 1762. wylicza pokoje wybite brokatem karmazynowym i zielonym, szpalery, sztukaterje, stoły marmurowe. W parterze była niegdyś sala z obrazem bitwy żórawieńskiej na plafonie i druga sala z 48 portretami królów polskich. Na pierwszem piętrze w sali wymalowana była bitwa wiedeńska na suficie, na drugiem wreszcie piętrze pokoje „złote“ z rzeźbionemi w drzewie głowami sławnych ludzi. W baszcie wreszcie, która i dziś z południowej strony jest widoczna a dawniej była zbrojownią, odmalowany był pogrzeb Mikołaja Sieniawskiego h. w. kor.

Zamki panów polskich miały jednak to nieszczęście, że w wieku dziewiętnastym trafiały na panków polskich, którzy się z nimi obchodzili jak barbarzyńcy. Operacji takiej godnej hord wandalskich dokonał na zamku brzeżańskim w pierwszej połowie ubiegłego wieku Aleksander hr. Potocki. Zniszczył, opuścił, zaniedbał, zrabował, z wielkich płócien obrazowych wory szyć kazał na mąkę i kartofle, tak, że została tylko ruina i temat do biadań dla całych pokoleń archeologów. Dopiero inny Potocki, a mianowicie hr. Stanisław w r. 1878 przynajmniej kaplicę uratował, ale w siedzibie panów na Brzeżanach dalej się piwo pędzi i dale żołnierze sprośne śpiewają piosenki.

F. J.

MARJA BARTUS.

Dziennik nauczycielki wiejskiej.

(Ciąg dalszy.)

Na domiar kłopotów od czasu mego przyjazdu, od ostatniego wieczoru we Lwowie, który pożegnał mnie najwspanialszą pełnią księżyca, na pogodnem, wyiskrzonem, szafirowem niebie, w Sokolnikach ciągła słota, połączona z mroźnem zimnem i burzami szalejącemi dniem i nocą — niepodobna wyjść — niepodobna ani zielonością, ani słońcem rozpogodzić duszy i ratują mnie jedynie książki, do których uciekam przed tęsknotą po godzinach szkolnej pracy.

Nocami spać nie mogę... Uczucie jakiegoś opuszczenia i osamotnienia, jakby na pustyni, napełnia mnie jakąś nieopisaną trwogą, serce, jak spłoszony ptak tłucze się w piersi, jak w klatce, szukając schronienia pod skrzydłem marzeń i wspomnień z kilku dni szczęśliwych, a należących już bezpowrotnie do przeszłości!

Czyż tam w istocie wszyscy o mnie zapomną, wszyscy mnie opuszczą?...

Tej niedzieli, choć to pierwsza dopiero na mojem nowem stanowisku... miałam jakieś mgliste nadzieje... patrzyłam na drogę z biciem serca... ale... nikt się nie pojawił!... nikt... I tak zapewne przejdą dnie, tygodnie i miesiące... tak każdej niedzieli oczy moje coraz smutniejsze patrzeć będą na tę drogę... tak zawsze serce uderzać a następnie płakać będzie — i zawsze — daremnie!

Nikt mnie na świecie nie pojął!

Nikt mnie nigdy nie kochał!?...

Z myślą tą czas się oswoić i gdy Bóg nie dał rzeczywistego stworzyć sobie szczęścia — sztuczne?... czas zapomnieć!... o marzeniach szczęścia własnego, egoistycznego, które może nawet nigdy w zupełności zadowolić by mnie nie mogło — a szukać już stale ulgi i ukojenia w miłości świętszej... ludzkości całej i w dopełnieniu obowiązków swoich!

Ale otóż znowu piszę o sobie — niedawno wyraziłam się o Deotymie, że wszystkie promienie jej geniuszu służyły jej tylko do oświecenia niemi własnej postaci, postawionej jako bóstwo na ołtarzu próżności — a otóż nie posiadając jej potężnego talentu, przewyższam ją w miłości własnej, nie mogąc nawet wobec świętej mojej idei utracić z pamięci siebie!

Muszę to powoli wykorzenić, tem więcej, że dziś nie będzie to już tak trudnem. Zawiodły mnie wszystkie osobiste nadzieje, w dwa ideały, które jedynie mogły życie moje osłodzić, w przyjaźń i miłość utraciłam wiarę zupełnie, a przynajmniej zwątpiłam, abym kiedykolwiek mogła je zdobyć dla siebie, aby mi je świat odwzajemnił w tym stopniu, w jakim uczucia te odbierał odemnie... odepchnięta jego chłodem i ciężko a niezasłużenie zraniona, zerwałam z nim stosunki... rzuciłam się w sferę innego świata a czyn ten, choć jest trochę czynem

rozpaczy, jest także wynikiem głębszej rozwagi, więc może przyszłości mojej rokować przynajmniej spokój i zadowolenie, jakie wypływa z czynnego, pożytecznego i ograniczonego w potrzebach swoich życia.

Ażeby jednak cel ten osiągnąć w rzeczywistości, wiele jeszcze potrzeba — a najpierwej samoistnego stanowiska w szkółce wiejskiej, gdzieby można działać podług własnych planów, pięknej okolicy, aby widok jej podnosił dusze, jednego lub dwóch pokoików skromnych, lecz miłych i czystych, w których po godzinach pracy szkolnej możnaby oddawać się myślom i doskonaleniu się na znakomitych wzorach, w zawodzie nauczyciela i poety, do których zarówno Bóg mnie powołał, żadnemu nie pozwalając się sprzeniewierzyć, lecz połączyć je tak, by niebieski promień poezji rozświecał dziedzinę żmudnej pracy nauczycielskiej i udzielał jej swego natchnienia.

W około domu szkolnego potrzebny jest koniecznie ogród, a w nim drzewa i kwiaty, nietylko dla uweselenia szkolnej sali, a stąd utrzymania w pogodzie i wypływającej z niej chęci do pracy umysłu uczniów — lecz oraz z wielu względów innych, pomiędzy którymi najważniejszym jest pożytek, jaki przynosi obznajomienie naukowe dzieci — z ziemią i jej płodami, oraz zachęcenie ich do pielęgnowania kwiatów i młodych drzewek. Zajęcie to jest miłem, więc dziatwa chętnie go się podejmie; jest wdzięcznem, więc łatwo widząc korzyści swojej pracy, w wieku, w którym do wszystkiego zachęty potrzeba, ukocha pracę; jest pięknem, więc uszlachetnia duszę i podnosi ją do Boga — dusza kochająca piękno i Boga i w życiu swojem nie zniesie brudu, brzydoty i opuszczenia — a jakiż jest ostateczny cel nauki i wychowania?

Obok szkółki mojej więc musi być ogródek, musi być ptactwo śpiewające, kwiaty, drzewa, musi być kościół nieopodal dźwiękiem dzwonów swoich jakby głosem z nieba — wzywający ludzi do ich obowiązków, musi być porządek i czystość, którą wszelkiemi siłami starać się będę utrzymać — a resztę da Bóg i sumienna praca.

Tymczasem, jak młody ptak do lotu, tu próbuję moich skrzydeł, jakkolwiek powoli i jeszcze nieśmiało. Najpierwszem, co zaleciłam moim uczniom i uczenicom, było, żeby do szkoły przychodziły ile możności czysto odziane, poczesane i umyte i wyznać muszę, że nawet nie spodziewałam się tak chętnego i szybkiego wykonania nakazu, gdyż zaraz nazajutrz i codzień teraz głowy ich i twarze wyglądają zupełnie inaczej. Odzieży lepszej od biednych trudno wymagać... zalecić wszakże nigdy nie zaszkodzi, aby ta ile możności czysto była utrzymaną.

Dalej przeznaczyłam dwa razy w tygodniu nadobowiązkowe godziny nauki szycia dla dziewcząt a modelowania z gliny dla chłopców. Jestto czynność nadzwyczaj ich zajmująca a prócz tego bardzo rozwijająca władze myślenia, pojmowania, odwzorowywania a także zręczności rąk i palców przy ugniataniu gliny i nadawaniu jej odpowiednich kształtów.

Nowemu temu zajęciu oddały się dzieci z wielką radością i mam już ładne okazy, które, pasąc bydło na polu, wyrobili nader zręcznie ze znajdującego się tu jakiegoś rodzaju bardzo ładnej białawej glinki!

U księdza i jego siostry jeszcze z pierwszemi odwiedzinami nie byłam, codzień postanawiam to uczynić i jakaś obawa mnie powstrzymuje, ale muszę się wreszcie odważyć.

Pana J. widując codzień, mogę studjować do woli, ale przedmiot to niezbyt ciekawy. Jest to sobie poczciwy człowieczyna, pracujący na chleb spokojnie dla siebie i rodziny. Cele humanitarne zupełnie mu nie w głowie, czci głęboko monarchę Austrji i ma drażliwe nerwy na wszelkie buntownicze wybuchy narodu naszego. Czy jest polakiem, czy rusinem, sprzyjającym tej lub owej narodowości, trudno zgadnąć, lecz zdaje mi się, że najlepiej by go scharakteryzować można pełnem znaczenia mianem galicjanina.

Z wypadków niezwykłych dwa mam do zanotowania. Pierwszym był, gdy weszłam niespodzianie przedwczoraj do klasy pana J., chcąc go zapytać o godzinę, zastałam tam wikarego tutejszego probostwa, któremu mnie pan J. jako nauczycielkę przedstawił. Skłoniłam się, toż samo ksiądz, który jest katechetą, lecz oraz tak zdziwionemi i niezwykłemi wpatrzył się we mnie oczyma, że zmieszana, zapytawszy tylko o godzinę, wybiegłam z klasy; za chwilę przyszedł pan J. do mnie niemniej zdziwiony, mówiąc, że ksiądz po odejściu mojem jakby czemś nadzwyczajnem uderzony i przejęty, chwycił się za czoło, zamyślił i ani słowa nie przemówiwszy już do niego, prędko wyszedł ze szkoły.

Kilka dni znowu minęło bez szczególnych wypadków. Najważniejszym z nich był wczorajszy, który mnie nabawił całodziennego bolu głowy. Mój poprzednik p. J., podług przyrzeczenia wyprowadził się i przyszedł do szkoły mnie pożegnać, zalecając, abym na siebie uważała, gdyż, jak słyszał, mocno

kaszlę, a praca szkolna może bardzo stan mego zdrowia pogorszyć; podziękowałam za uwagę i pożegnaliśmy się przyjaźnie. W chwilę potem wszedł wójt, prosząc, czy nie mam czasu kilku słów z tutejszą radą szkolną pomówić; udałam się z nim do tak zwanej organistówki, gdzie jest tymczasowa sala rady gminnej i zastałam w niej już zgromadzonych najpoważniejszych członków tejże.

Dziwne wrażenie zrobiło na mnie to zgromadzenie, które pierwszy raz w życiu widziałam, poważne oblicza, siwe głowy i piękny strój tutejszych włościan, przytem ich proste, ale tchnące zdrowym rozsądkiem słowa, przypomniały mi starodawne wiece, z ich patrjarchalną powagą. Usiadłam wśród nich a przewodniczący Rady, stary Ubicz, zapytał mnie, czy chcę zająć zaraz opuszczony pokój po moim poprzedniku i czy będę z niego zadowoloną, gdyż w takim razie oni mnie tam zaraz prowadzą i oddadzą mi klucz, który w razie wyprowadzenia się kiedyś gminie tylko mam wręczyć na powrót, aby pan J. nie rościł sobie prawa do tego pokoju.

— Panowie gromada — odpowiedziałam im na to po krótkim namyśle — nie rozumiem dobrze stosunków, które tu zachodzą, a dopokąd nie wiem, po której stronie jest słuszność, do żadnej skłaniać się nie chcę. Przysłano mnie tu, nie wspomniawszy ani słowa o sporach między gromadą a nauczycielem i Radą szkolną, wykonuję moje obowiązki i oczywiście gdzieś mieszkać muszę, ale gdy pan J. twierdzi, że całe pomieszkanie należy do niego, gmina zaś, że do niej, nie chcąc z żadnej strony bez winy ściągać na siebie nienawiści a może i prześladowania, nie wiem, czy mogę klucz ten od was przyjąć i sądzę, że może byłoby najlepiej, gdybyście go złożyli na ręce pana K. „O nie, nie! — zakrzyknęli wszyscy — albo oddamy go pani, albo nie oddamy nikomu, szkoła jest własnością gminy, postawiona za jej pieniądze, a skoro nauczyciel starszy ma w niej odpowiednie pomieszkanie, niechże pozwoli, abyśmy i drugiemu, który równie nam jest potrzebny, pomieszkanie dali. On chce posiadać oba pokoje z kuchnią, aby jeden mógł odnajmywać, ale my na to nie pozwolimy, bo to n a s z a p r a c a i my tylko rozporządzać nią mamy prawo. Więc powtarzamy, że jeżeli pani klucza nie weźmie, my go jemu nie damy“.

Drżałam jak listek z obawy zaplątania się w jaką nieczystą sprawę, mowa powyższa przekonała mnie prawie, było w niej wiele słuszności, ale czy zupełnej? — nie wiedziałam. Z drugiej strony, jeżeli ja klucza nie wezmę, myślałam, a oni jemu go nie oddadzą, więc gdzież się pan J. podzieje — bo przecież niepodobna, aby ciągle nocował tak po chatach, jak obecnie, lub, żebym ja przez wspólność mieszkania narażoną była na obmowę; w tem trudnem położeniu prosiłam ich o chwilę zwłoki i, chwiejąc się od wewnętrznego wzburzenia, udałam się do siebie.

(C. d. n.)

FELIKS GWIŻDŻ.

Z Tatr.

Na skał grzebienie kędzierzawe, na czoła dzikich turni
Szalony gnałem, jak Wiatr Halny, jak mocna siła sił —
Gromem zjawiałem się na halach, (— jak zbójnikowie jurni!...),
Smutki-m poniechał wszystkie — młody — radością tylko-m żył!

Hej! kiedym pojrzał po dolinach, co u nóg moich legły,
Gdym skalne wały pod swe stopy otusznie rzucił — zbój —
To wszystkie złote gór potoki i złomy ku mnie biegły,
Wołając na mnie: bracie! synu! nie odchodź, boś ty mój!...

I tak mnie dziwnie opętały, urzekły po wsze wieki,
Żem ostał w Tatrach jasną granią, tchem wichrów, szumem wód —
I dziś — wśród gór najwyższa góra — spozieram w świat daleki
I myślę... ruszyć wraz z turniami na wielki bój i trud...

JULJA KORZEŃSKA.

JAK CIEŃ...

Czy na dworze wiosna?

Matko, odsuń zasłony z okien — niech na świat popatrzę, na ziemię młodą, na życie...

Popatrz matko, jak się tu wcisnął złoty promień słońca — przysuń mię bliżej — niech pada na mnie; rozpuść moje złote włosy, niech je pieści słońce — o tak — tak — dobry promyczek, aż tu przyleciał do mnie...

Podłóż mi ręce pod głowę, matko moja, miękkie, dobre, matczyne ręce, jak dwa skrzydła białe...

— — — — — — — — — — —

To ty, siostro Marjo!... Nie gniewaj się; — zdawało mi się, że moja matka przyszła tu do mnie, że mi przyniosła złoty promień i skrzydła anielskie przypięła...

Tak mi dziś dobrze, siostro Marjo — tylko ten kaszel ustanie, wyjdę na świat... Patrz, jak tam pięknie...

Usiądź przy mnie, siostro — wiesz — tyś bardzo piękna... Gdy patrzę na ciebie, to mi się zdaje, że to anioł biały zstąpił tu do mnie — anioł biały — w tych ścianach — u mnie.

— — — — — — — — — — —

Po co ty mi, siostro, długie słowa prawisz — o Wielkiej Miłości i Przebaczeniu? Siostro, ja cię nauczę miłować — więcej jeszcze — konać dla miłości swej — za życia...

Już rychło pójdę, jutro już może. Na moim grobie z łaski krzyż postawią — ani jedna łza nie zrosi czarnej ziemi mogilnej, grudki nie rzuci życzliwa ręka... O... ten kaszel... siostro... wody mi podaj... Od wczoraj ten kaszel męczy mię nieznośnie...

Zasuń gardiny, nie chcę już słońca...

— — — — — — — — — — —

Rafał Ruszecki — twoje imię w chwale ukąpane — Rafał Ruszecki — a ja — co się ze mną stało?

O co mię pytasz, siostro? — Czy to był mój kochanek? Tak — dlaczego bledniesz co ty wiesz o nim? Powiedz mi, siostro... Mówisz — „ręka boża“... — Co to znaczy?! Jezus, Marja!

Był piękny, siostro, pięknością baśni czarownej o słońcu. — Tytan potężny, gdy dłutem z bezkształtnej masy marmuru rzeźbił dusze ludzkie. Był piękny, dopóki kochał swoją sztukę i świat swój słoneczny, świat bogactw ducha niezmierzonych, wielkość i chwałę...

Przyszłam ja — on we mnie ukochał moje złote włosy, w oczach moich utonął świat jego cały, w miłości mojej wielkość i chwała..

Upływał rok jeden i drugi — bezkształtne stały białe marmury... Umarła dusza artysty. Pozostała zabójcza za nią tęsknota... Jedna miłość zabiła drugą...

Trzeba było bólem uderzyć w to serce, wydrzeć zeń tę miłość i tamtą obudzić, śpiącą na dnie duszy...

Odeszłam nagle — cicho — nie pomogło... Ja odeszłam, ale miłość żyła — musiałam ją zabić, aby obudzić tamtą... Zeszłam na najniższy szczebel — pokazałam mu się — w mętach zanurzona — zabiłam miłość! Na jej grobie wyrosło dzieło: jego chwała, jego twórczość...

On zapomniał... Zapóźno już było wracać stąd...

...Gdy umrę, siostro — pomódl się za mnie, za grzechy moje i za niego się módl, siostro, by powstał z upadku, tylko nigdy nie wspominaj przy nim imienia mego, by nie odżyła...

— — — — — — — — — — —

Siostro... podnieś mnie... życie we mnie nowe — siostro — odsuń zasłony!

Wiosna — wiosna — o Rafa — — —

Sen i marzenia senne.

(Streszczenie odczytu wygłoszonego w Towarzystwie przyrodników polskich im. Kopernika.)

(Ciąg dalszy.)

Sen pojadlny, czyli poobiedni jest właściwością najpowszechniejszą w świecie zwierząt ssących, bo i trawożerne i mięsożerne i wszystkojadne, wypełniwszy żołądek, odpoczywają, śpiąc lub drzemiąc. To też pieśń znaną: „Jadły, jadły, aż się spać pokładły“ można śpiewać jako „kolendę“ wszystkim ssawcom, aż do człowieka. U zwierząt przeżuwających sen jest najlżejszy i stosunkowo najkrótszy, one spoczywając, są zwykle zajęte czynnością przeżuwania i tylko chwilowo przestają, ażeby zdrzemnąć. Przypatrując się przez lunetę spoczywającym stadkom reniferów w górach karnczackich, gdy one leżą na polach śniegowych latem, nie widziałem nigdy, ażeby osobniki pojedyncze rozciągały się po ziemi, jak to czynią konie nasze udomowione, przeciwnie renifery trzymają zwykle głowy

podniesione, rzadko opierają je o ziemię i jeżeli drzemią, to bardzo krótko. To samo daje się obserwować u naszego bydła domowego i u owiec. Konie natomiast rozkładają się do snu, wyciągając nogi przed siebie i układając głowę bokiem na ziemi, ale też i nie wszystkie konie mają ten zwyczaj, tak np. posiadałem konia z tabunów zabajkalskich, który się nigdy nie układał do spoczynku, lecz drzemał zawsze stojąco. Dzegetaje (Equus hemionus), śpią także stojąc i tylko klacze ich źrebne spoczywają, leżąc na ziemi, lecz trzymając przytem głowę podniesioną. Wogóle mówiąc o śnie pojadlnym, możemy stwierdzić, że sen taki stał się drugą naturą zwierząt ssących i właściwością dziedzicznie przekazywaną, niejako koniecznością ich organizmu. Wypełnienie żołądka czyni każdy organizm mniej zdolnym do działalności, czy to fizycznej, czy to duchowej. Tak np. psy, nakarmione przed polowaniem, niechętnie biorą się do gonienia zwierzyny. Koni wyścigowych nie karmi się nigdy przed rozpoczęciem gonitwy. Burjaci i Sybiracy, wybierając się w dalszą podróż, trenują konie, przeznaczone pod siodło, poddając je zmniejszonym dozom pokarmu, przysłowie tedy, według którego „Plenus venter, studet libenter", dzisiaj nie może stanowić prawidła dla postępowania hygjenicznego, przekonano się bowiem, że pełny żołądek wymaga odpoczynku i nie sprzyja wcale jasności myśli i łatwości pojmowania. Doświadczenia liczne, czynione w tym kierunku, wykazały, że sama natura, a zarazem i rozumna hygjena wymagają odpoczynku pojadlnego, trawienie bowiem normalne bywa powstrzymane skutkiem pracy fizycznej, albo umysłowej.

Sen pororoczny nie jest koniecznością dla organizmu zwierzęcego, sen taki bywa wywołany warunkami zewnętrznymi. Okoliczności dotyczące snu zimowego najlepiej są poznane u zw. ssących. Następujące rodzaje i działy zwierząt rzeczonych poddawane były badaniom naukowym, mianowicie bobaki (Arctomys), susły (Spermophilus), chomiki (Cricetus), pilchy (Myoxus), jeże (Erinaceus), borsuki (Meles), niedźwiedzie (Ursus), nietoperze (Chiroptera).

Zwierzęta o krwi tak zwanej ciepłej, jak np. zw. ssące mają stałą ciepłotę ciała, niezależną w zwykłych wypadkach od otoczenia, temperatura ich ciała waha się pomiędzy $+ 37^0 = + 40^0$C. Tak, że czy to w zimie, czy latem, temperatura u zdrowych osobników nie zmienia się wcale, ona bywa regulowana za pomocą procesu przemiany materji w ciele zwierzęcem, przy współdziałaniu różnych właściwości organizmu, np. uwłosienia, potu, etc. Oziębianie się otoczenia, w którem żyją zwierzęta, działa zwykle jako podnieta na czynności odżywcze, wszelako te gatunki, które podlegają snu zimowemu, nie posługują się tymi regulatorami, a to z chwilą, gdy temperatura środowiska obniża się do $+ 8^0$ C. i pozostaje przez czas dłuższy na tej wysokości. Taka temperatura przestaje oddziaływać podniecająco na zwierzęta, zapadające w sen zimowy, one same oziębiają się raptownie, przyczem ciepłota ich ciała spada do wysokości temperatury otoczenia; jednocześnie zmniejszają się czynności organizmu śpiącego, związane z procesem przemiany materji. Tak np. bobak oddycha daleko wolniej, puls jego słabnie, skurcze serca odbywają się leniwie; zamiast oddychać 50 do 70 razy na minutę czyni to 8 do 2-ch razy tylko, zamiast 200 do 300 skurczów serca, bywa ich zaledwie 14. Pobudliwość nerwów maleje, na podniety świetlne i głosowe zwierzę śpiące snem zimowym nie reaguje wcale, tylko bodźce, sprawiające ból, albo obniżenie się temperatury do 0^0, budzi je nagle ze snu, gdyż ból i zimno ostrzegają śpiące zwierzę przed niebezpieczeństwem, grożącem śmiercią; więc takie tylko podniety są w stanie pobudzić je do życia czynnego, a to ostatnie stanowi jedyny ratunek przed zamarznięciem. Temperatura ciała po każdem przebudzeniu podnosi się prędko, wskutek zwiększonej działalności procesu przemiany materji. Jako przyczyna, a zarazem jako objaw działalności, o której mowa, jest drżenie mięśni ciała i ich napięcie, to też bardzo prędko przy silnem oddychaniu i przy drżeniu ciała ustępuje u zbudzonego zwierzęcia podniesienie ciepłoty ciała do 30^0 C.

Podczas snu zimowego zwierzę traci bardzo mało na wadze. Gdy bobak np. w porze letniej umiera już po 20 dniach głodu, to zimą w czasie sześciomiesięcznego snu nie zużywa nawet całego zapasu swego tłuszczu, nagromadzonego w ciele podczas jesieni, to też, gdy taki bobak po raz pierwszy na wiosnę opuszcza swoje legowisko zimowe bywa on jeszcze tłuszczem oblany. Darchaci Uranchowie, Burjaci i Mongołowie ze stepów wschodnio-syberyjskich cenią niezmiernie wysoko mięso bobaków, zabitych w chwili, gdy po raz pierwszy wyjdą z nor swoich na wiosnę, mięso takich zwierząt bowiem ma być, jak powiadają, „bardzo słodkie", prawdopodobnie wskutek przemiany tłuszczu w węglowodany. Ale już po tygodniu czuwania wiosennego bobaki i inne zwierzęta, odbywające sen zimowy, mizernieją silnie i wtedy też przestają myśliwi polować na nie.

Zatrzymałem się nieco dłużej nad objawami snu zimowego, z tej racji, że ten ostatni jest nię-

jako snem porodniowym, podniesionym do potęgi wyższej, jest to jakby sen zwykły, rozpatrywany przez szkło powiększające. My możemy śmiało, oparci dzisiaj na rezultatach badań snu zimowego, przyjąć jako pewnik najniezawodniejszy dla każdego rodzaju snu — zmniejszenie się w trakcie jego trwania czynności życiowych organizmu, osłabienie wrażliwości zmysłowych, zwolnienie działalności ośrodków duchowych. Ustrój każdy jest w czasie odpoczynku sennego chwilowo zniedołężniałym. Na tę właściwość organizmu zwrócić nam wypada uwagę, szczególniej ze względu na tę okoliczność, że marzeniom sennym człowieka przypisywano najniesłuszniej jakieś przymioty nadprzyrodzone, daleko wyższe od właściwości duchowych, mających miejsce podczas czuwania, gdy tymczasem właśnie każda czynność duchowa ustroju, pogrążonego we śnie, jest słabszą, niedołężniejszą i o wiele niższą od tamtych.

Nie każde zwierzę, odbywające sen zimowy, odpoczywa bez przerwy w ciągu całej zimy. Susły np. budzą się prawie co czwarty dzień, posilają się, spożywając zapasy nagromadzone w czasie jesieni i znowu układają się do snu. Borsuki w ciepłe zimy wychodzą na żer. Jeże hodowane nie zasypiają wcale, to samo i nietoperze. Niedźwiedzie na Kamczatce wstają niekiedy z barłogu, zaś te okazy z pomiędzy nich, które nie nagromadziły w ciele swojem dostatecznego zapasu tłuszczu, nie zasypiają wcale; włóczą się one w porze zimowej, napadają na ludzi i na bydło. Miejscowi Rosjanie nazywają takie okazy niedźwiedzi „szatunami“, albo „sucharami“. Białe, polarne niedźwiedzie, nie mają wcale snu zimowego. Wszystkie jednak zwierzęta, odbywające sen zimowy, muszą być tłuste przed ułożeniem się do spoczynku, bo chude zasnąć nie mogą. Senność organizmu jest rezultatem tycia, to też każdy tłuścioch ma zwykle sen twardy i długi, ale zarazem wszystkie czynności duchowe bywają u niego upośledzone. Ponieważ jednak nie ma prawidła bez wyjątku, więc też i tutaj znajdują się wyjątki szczęśliwe, które pomimo tłuszczu, nie tracą zdolności umysłowych; takim szczęśliwym wyjątkiem był sławny uczony naturalista, Karol Vogt, ten o tyle odważny, o ile prawdomowny myśliciel, był silnie otyły, pomimo to jednak przewyższał zdolnościami swemi i genialnymi przebłyskami umysłu i humoru, nie jednego chudego filozofa, wszelako można na pewno twierdzić, że gdyby się chronił od otłuszczenia, stałby daleko wyżej jeszcze w swoim rozwoju duchowym, bo otłuszczenie jest zawsze oznaką czasowej, lub stałej degradacji umysłowej. Na inne właściwości organizmu tycie działa rozmaicie, to też przysłowia francuskie, raz chwalą, innym razem ganią otyłość, tak np. przysłowie jedno twierdzi, że „Bon coq, n'est jamais gras“, ale za to drugie utrzymuje, że „Bon taureau, n'est jamais maigre“. Zwierzęta ssące, podczas snu, miewają marzenia senne, podobne do tych, jakie bywają udziałem ludzi. Im doskonalsze organy zmysłowe, im wyższa jest budowa mózgu, im bardziej rozwinięta dusza, tem silniejszemi i więcej urozmaiconemi bywają marzenia senne. Pies np. skomle przez sen, zdradzając rozmaite uczucia radości, smutku, bojaźni, złości; wila on ogonem, sroży szerść, budzi się raptownie ze snu i mając jeszcze w pamięci marzenia swoje senne, rzuca się rozzłoszczony przed siebie, jakkolwiek na jawie nie ma żadnego powodu do gniewu. Koń rży przez sen. Mieliśmy klacz ze źrebięciem, która, gdy się jej we śnie marzyło grożące jakieś niebezpieczeństwo dla dziecka, zrywała się raptownie na nogi i strwożona rżała głośno, budząc w ten sposób spokojnie przy niej śpiące źrebię. Krowa we Władywostoku, okaleczona podczas napadu w chlewie przez tygrysa, nie mogła przez dłuższy czas zadrzemać spokojnie, skoro się tylko ułożyła do drzemki, budziła się nagle z rykiem trwogi i nieprzytomna próbowała wyłamywać się z zagrody; dopiero uspakajające wołania właścicielki przyprowadzały biedne zwierzę do świadomości Następnie Korjacy, gdy w nocy czuwają nad stadem odpoczywających reniferów, wołają silnym głosem „hu — hu“, co każde pięć minut. Gdym pytał ich o powód takiego wołania, powiadali, że gdy renifery nie słyszą krzyku ludzkiego, „to się im śnią ciągle wilki“ i z przestrachu, wywoływanego marzeniami sennemi, zrywają się do ucieczki i gonią przed siebie bez pamięci, jak szalone.

Miałem, bawiąc w południowo-ussuryjskim kraju, pacjentkę, babę, rosjankę, która po napadzie tygrysa na jej domostwo, gdy uszła śmierci niechybnej, dzięki temu, że się schroniła do pieca piekarnianego, tak była przerażona tym wypadkiem, że nie mogła usnąć, bo skoro tylko zmróżyła oczy do snu i drzemać zaczęła, natychmiast miewała straszne widzenia senne, zrywała się z posłania z krzykiem gwałtownym i nie prędko wracała do przytomności. Gdym ją widział, błagała na wszystko, ażeby ją ratować, gdyż tak jest temi marzeniami swemi sennemi dręczona, że rady dać już sobie nie może, boi się kłaść do łóżka, boi się usiąść nawet, ażeby nie zdrzemnąć. Jeżeli istotę rozumną obawa przed grozą strasznej śmierci doprowadza do takiego stanu rozpaczliwego, to cóż się dziwić

biednym zwierzętom, których myśl cała jest tą obawą przepełniona.

Czy owi rycerze i amatorowie mordu, należący do różnych towarzystw myśliwskich, których członkowie chlubią się zabójstwem, jakby bohaterstwem jakiem, pomyśleli kiedykolwiek o tem, jak szkaradne i ohydne są ich czynności myśliwskie, czy potrafiliby oni nawet zrozumieć, jak etycznie niską jest ich namiętność, piętnująca człowieka mianem zbrodniarza. Mordować dla przyjemności mordu, chlubić się z najwstrętniejszej na świecie namiętności swojej, zaliczać zabójstwo bezmyślnie popełniane do najszlachetniejszych sportów na świecie, jest to dowód zwyrodnienia moralnego w najwyższym stopniu. Myślistwo ze wszystkiemi jego akcessorjami jest przeżytkiem z czasów barbarzyństwa ludów i stanowi brzydką plamę na tle cywilizacji obecnej, ono wraz z całym kultem pijaństwa towarzyskiego złożone być powinno co rychlej do grobu i oddane niepamięci. (C. d. n.)

Dr. Benedykt Dybowski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA

Anatol France. Nowele. Tom III. „Wyboru pism“ w tłómaczeniu Jana Stena. Po dwóch poprzednich tomach „Wyboru pism“ nowele te ukazują nam France'a w nowem świetle — co więcej, przynoszą one poniekąd bardziej wyraźne i samorzutne myśli autora „Tragedji ludzkiej“, co pozwala nam na urobienie sobie prawdziwszego pojęcia o nim. Po wykwintnym impresjoniźmie z pism krytycznych i mistyce przeplatanej pustotą z „Gospody pod Królową Gęsiąnożką“, nowele te dziwią nieraz śmiałą prostotą uczucia i formy artystycznej. Nowele te są głównie publiczną spowiedzią z zasad i myśli społecznych, zgodnych w swych najogólniejszych zarysach z najszlachetniejszemi usiłowaniami ludzkości na drodze postępu. France jest jedynie przeciwnikiem rewolucji i terroru, a jako dążenie do celu uznaje tylko powolną ewolucję przez głoszenie na każdem miejscu i przy każdej sposobności „słowa Bożego“. W ten sposób pojmuje religję, w ten sposób pojmuje każde dążenie społeczne — kto działa inaczej, ten staje się winnym tych samych zbrodni, co wyzyskiwacze i wrogowie prawdziwych zasad Chrystusowych.

W utworach o tle historycznem uderza bardzo często finezyjnie podkreślana zdolność do nieprzeidealizowania ludzi i wypadków, ale przeciwnie do ujęcia ich takimi, jak musieli wyglądać w całym aparacie życiowym, pełnym najrozmaitszych niespodzianek, zapomnień, przeskoków i nielogiczności (np. „Prokurator Judei“). Tłómaczenie jest nader staranne i wierne. *S. Dz.*

Penzig Rudolf, dr. fil., doc. Akad. Berl. Jak odpowiadać na pytania dziecięce? Tłumaczyły z niemieckiego Zofja Rotszajnowa i Marja Lipska. Warszawa 1905. Nakł. księgarni M. Borkowskiego. Wymieniona książka roztrząsa najbardziej zasadnicze zagadnienia pedagogiki, nad których rozwiązaniem bardzo wielu dotąd pracowało. Nie jest ona *omegą* tych usiłowań, lecz jedynie dalszem ogniwem w ich długim łańcuchu. Wyjaśniwszy stopniowy rozwój umysłu dziecka, które wreszcie zaczyna się zastanawiać, dlaczego ta a ta sprawa tak właśnie się ma, a nie inaczej, poucza autor, że odpowiedzi na dziecięce zapytania powinny być poważne, nigdy zbywające, tak, ażeby w dziecku obudzić chęć do samodzielnego myślenia i zastanawiania się nad otaczającym je światem. Dalsze rozdziały wykazują na szczegółowych przykładach, trzymanych w formie djalogu, jak na poszczególne kwestje należy odpowiadać. Tematy tych djalogów są następujące: legenda o bocianie, stosunek dziecka do rodziców i kwestja posłuszeństwa, stosunek dziecka do rodzeństwa, znajomych i służby, kwestja własności osobistej, dziecko w szkole i stosunek do nauczyciela, walka z kłamstwem, stosunek dziecka do przyrody i do społeczeństwa, kwestja śmierci i wychowania religijnego. Książka ta mogłaby w wychowaniu oddać wielkie usługi, gdyby wychowawcy nie trzymali się jej niewolniczo i wyniesione z niej doświadczenie zastosowywali w każdym poszczególnym wypadku do indywidualności i usposobienia dziecka. *S.*

Słowo o pułku Igora, przełożył Bohdan Łepki. Kraków 1905. 8-ka str. 54. Po przekładach tego zabytku staroruskiej literatury, dokonanych przez Godebskiego, ks. Krasińskiego i Bielowskiego, otrzymaliśmy nowy, który wyszedł z pod pióra znanego ruskiego poety. Zaleca go zwłaszcza zgodność z tekstem oryginalnym, a co najważniejsze, przydane obszerne objaśnienia, uwzględniające starannie dotychczasowe wyniki badań naukowych nad „Słowem“. Język przekładu czysty i poprawny, wiersz gładki i melodyjny. Nie ostatnia to zapewne próba przekładu „Słowa“ na język polski. *S.*

ZAPISKI.

Wykopaliska przedhistoryczne. Nauczyciel ludowy w powiecie niskim p. Alfred Dworski rozpoczął ubiegłego roku poszukiwania archeologiczne w miejscowościach Bania, Kopki, Przędzel i w głębokości znacznej trafił na cmentarzysko, wskazujące na epokę brónzową i początki żelaznej. Na wiosnę roku bieżącego począł znowu p. Dworski kopać między Rudnikiem a Stróżą, w pobliżu Sanu. Plon był bardzo obfity. Znalezione bowiem krzemienne topory, siekierki, igły, groty, nieznane rodzaje broni etc. stanowićby mogły ozdobę każdego muzeum. Badania swoje zamierza p. Dworski prowadzić dalej.

Drukiem W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika l. 5.